TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 33. Chicago, Ill., Czwartek, 18-go Sierpnia, 1898. Rok XII.

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Nadszedł wielki Czwartek; obyczajem rodziców oboje królestwo zwykli byli w tym dniu w gronie całego dworu obchodzić Pańską wieczerzę, zaraz po nabożeństwie; zazwyczaj więc zbierali się w jadalni mężowie, których obecność przyjemną i miłą była królowi i ci, co na ten dzień przybyli do stolicy, a podobnie uważanymi byli; w poważnych szatach, z podgolonym włosem na głowie i z białemi na szyi chustkami, bo to była ulubiona odzież Kazimierza Karola, tak słusznie Odnowicielem zwanego i otaczający chętnie naśladowali ten zwyczaj, łączący powagę, czystość tak zdrowiu konieczną i miłą w oczy wpadającą świeżość, chociaż młodzieńcom on się nie podobał.

Ci chętnie zapatrywali się na królewicza Bolka, który lubił bogate i wzorzyste stroje, włos po ramionach w kędziory puszczony i bogate bronie i zbroje, a kosztowniejsze jeszcze konie.

Skoro poważni panowie stanęli po jednej stronie komnaty, a młodzież skłębiona gęsto u okien wyczekiwała swego naczelnika, z drugiej strony zebrały się niewiasty i dziewice z dworu królowej. Przybrane były w kosztowne futra i ciemne szaty, wierna swej nazwie większa ich liczba biało okrywała głowy, ale już gdzieniegdzie migała barwista zawijka zamorska lub na Wscho-

dzie tkana szata, bo nowym upodobaniom nie można zamknąć wstępu do kraju, bo zmiany prędzej lub później we wszystkiem napływać muszą, ze zmianą pojęć i wyobrażeń.

Kobiety na pół głośno rozmawiały ze zdziwieniem, żywo i ciekawie poglądając na dwa stoły zastawione na środku komnaty. A istotnie dziwną to było rzeczą, że każdy z tych stołów zastawionym był tylko na dwanaście osób, kiedy liczba zgromadzonych kilkakrotnie była większą. Nasi znajomi rozdzielili się w właściwe sobie kółka i tam słuchali przypuszczeń i wiadomości różnych, a mianowicie, że król i królowa, mając sobie opowiedziany pobożny zwyczaj, istniejący na dworze Roberta I, francuzkiego monarchy, mieli zamiar wprowadzić go u siebie i że zebrane zgromadzenie czegoś nowego będzie świadkiem, a to zawsze ciekawe.

Niedługo wszakże dręczyli się obecni oczekiwaniem: otwarły się drzwi od komnat królewskich i parami weszło dwunastu siwych jak gołębie starców, w ubogiej ale czystej i nowej odzieży, z bosemi nogami i zajęli stojące miejsce przy jednym stole; za nimi, w jak najprostszej szacie, z miedzianą w dłoni nalewką, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, wszedł Kazimierz I.

I wraz otworzono drzwi od komnat królowej i parami weszło dwanaście sędziwych, a nawet zgrzybiałych staruszek, z bosemi nogami, w ubogiej ale czystej i nowej odzieży, a za niemi z nalewką w ręku, w prostej szacie, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, z pokorą i poważanym wdziękom, szła Marya Dobrogniewa.

Cały dwór ze zdumieniem poglądał na to szczególne widowisko, a spostrzegając to król, rzekł do zgromadzonych:

— Dziś obchodzimy ostatnią wieczerzę, którą Pan Nasz, Jezus Chrystus z uczniami swymi na ziemi odprawiał. Jako On dał przykład pokory, umywając im nogi, tak i my pragniemy iść Jego śladem i uczynić tę posługę ubogim, tyle od Niego ukochanym. Wyznajemy przytem, że nienawiedził nas Bóg łaską swoją o tyle, by nam samym myśl ta była przyszła; idziemy w tem za przykładem króla francuzkiego, który już od lat kilku ten pobożny zwyczaj u siebie wprowadził.

Po tych słowach możny władca rozległego kraju i małżonka a córka monarsza pochylili się do nóg ubogich staruszków i umywszy im nogi, służyli tym gościom do stołu, podając smaczne choć postne potrawy i nalewają w czary pokrzepiające napoje.

Patrząc na tak budujący przykład pokory chrześciańskiej, goście i dworzanie obojej płci poczęli się ubiegać w dopomaganiu królewskiej parze; dopiero po nasyceniu należytem biedaków, po hojnem ich potem obdarowaniu, Kazimierz Karol z żoną i dziećmi, z gośćmi i dworzanami, miał zasiąść do obszerniejszych, świeżo zastawionych stołów.

Królestwo odeszli do siebie, a wtedy coraz głośniejszy gwar rozmowy wznosić się zaczął między pozostałymi; jedni uwielbiali nowy obrządek, inni go ganili, śmiali się lub potępiali, ale widocznem było, że nie zbyt daleką można mu było obiecywać przyszłość. Lubo łagodnego charakteru królewicz Władysław Herman z ochotą garnął się do towarzyszenia ojcu w pobożnym obyczaju, lubo młodziutka i urocza Świętochna, nie myśląca jeszcze zapewne, gdzie ją losy od domu i rodziny uniosą, nieodstępna matce i dziś wyręczała ją o ile mogła, to najstarszy ich brał, wiadomy po ojcu tronu następca i już przez niego przypuszczony do rządów, Bolesław widocznie nie zachwycał się nowym obyczajem.

Podczas całego obrządku pozostał w kółku swoich rówieśniaków, witając nowo przybyłych, a między nimi i Jaśka z Brzezia, którego lubił zbliżając się do starszych wojowników, co przed powrotem Kazimierza do kraju różnych sobie swobód dozwalali, a kto wie, czy za przykładem Masława z Mazowsza nie zawracali do Czerno i Białoboga, a na ustach jego błąkał się uśmiech lekceważenia i na czole osiadały chmury.

Charakter tego najstarszego syna nie mało rodziców niepokoił; wspaniały, szczodry, odważny aż do zuchwalstwa, wzdrygał się ulegać, bez względu czy ludzie czy prawa, czy okoliczności wymagały pogodzenia się z niemi. Zdawało się Kazimierzowi, że młodzieńczy a burzliwy umysł najskutecz-

niej uspokoi, powołując go do pomocy w rządzeniu i pozwalając tym sposobem wejrzeć z bliska w obowiązki rządzącego, w potrzeby ludu, w charaktery pomagających mu mężów. Marya Dobrogniewa, drżąca nieraz na widok gwałtownych uniesień syna, chciała najprzód wpłynąć na zjednanie mu pomocy swojej rodziny, a potem złagodzić jego charakter, i dla tego w myśli, pomiędzy wielu dalej lub bliżej sobie pokrewnemi ruskiemi księżniczkami, szukała mu odpowiedniej żony, a nawet, jak już naówczas mówiono, wynalazła piękną i łagodną Wisławę.

Bolko zaś, spełniając zręcznie i umiejętnie wskazówki ojcowskie w rządach, zadziwiał rodziców bystrością sądu i wymową, na polu bitwy odznaczał się niezwykłą, prawie szaloną odwagą, dla ludu hojnym był nadzwyczaj, a kmieci, czyli wolnych rólników, sam wysoko cenił i nawzajem ich sobie ujmował. Jeżeli zaś kiedy zdarzyło się mówić o przyszłości, to zawsze Bolesław uwielbiał rządy Wielkiego, Chrobrego Bolesława i widać było, że przemyślał trzymać jedną rękę na Baltyku, a drugą do Dniepru wyciągać i słuchając go, młodym iskrzyły się oczy, a starzy kiwali siwemi głowami

* * *

Długie lata minęły od chwil powyżej powiedzianych i wiele ważnych zdarzeń przetoczyło się po ziemi, wiele wielkich zmian i w naszym kraju zaszło. Po śmierci Kazimierza Odnowiciela, 1058 r. siedmnastoletni syn jego, Bolesław, bez sprzeczek królem obranym został i świadomą już ręką ujął ster rządów. Świetnie odbyła się koronacya młodego króla, bo samych biskupów swoich i postronnych towarzyszyło jej piętnastu Wkrótce potem, chociaż nie wiekiem, ale znanem męztwem i potęgą rządzonego kraju się odznaczył i za wielkiego monarchę znać był uważanym, skoro postronni książęta na radę i zgodę między sobą do młodego Bolesława się udawali Najprzód węgierscy królewicze, którzy się między sobą o tron swarzyli, potem czescy, gdzie Bolesław dopomógł Wratysławowi do odzyskania władzy, a nawet siostrę swoją Świętochnę dał mu w małżeństwo, a następnie Izasław Kijowski w podobnejże sprawie na Ruś sąsiada swego powołał.

Następstwem tych spraw było, że Bolesław nie wiele przebywał w domu; zaledwie opuścił pogodzonych książąt, już się waśnili na nowo. już on chcąc swoje dzieł utrzymać, musiał na miejsce kłótni powracać; do tego jeszcze Henryk IV, niemiecki cesarz, dumny także i niezgodny, nierad był wcale mięszaniu się Bolesława do Czech i Węgier i nietylko, że mu wszędzie stawiał zawady, ale nawet, gdy tenże przebywał na Rusi, pomimo oporu wojska, zagarnął mu Pomorze.

Bolesław jednak chętnie się mieszał w sprawy Izasława, przeciwko jego braciom i krewnym; lubił mieszkać na Rusi w jej bogatych miastach, to w Łucku, to Przemyślu, powracając do swego kraju jedynie dla naprawy tego, co podług doniesień zostawionych zastępców, coraz się psuło. Nie lubił od młodości ulegać, teraz choć prawa to nakazywały, nie lubił słuchać przedstawień rady państwa, niechętnym wzrokiem poglądał na szlachtę i prawie rad był, że się dla niej ciężkie gotowały czasy, bo się spodziewał, że ją to upokorzy i tym sposobem on sam będzie swobodniejszy.

W początkach jedenastego wieku najniższą w Polsce klasę ludności stanowili niewolnicy, z jeńców wojennych pochodzący, którym wolno było dosługiwać się przejścia do klas wyższych. Po tych następowali kmieciowie czyli rolnicy, najliczniejsza klasa ludzi, mieszkająca wolno na ziemiach królewskich i duchownych. Oni stanowili straż grodów i zamków, jeżeli zaś pieszo wojenną służbę odprawiali, nabywali pewnych swobód i przywilejów, wywyższających ich nad innych i zbliżających nieco do szlachty, na którą właśnie już za Bolesława Szczodrego niechętnem patrzeli okiem i chcieli się z pod jej uścisku wyłamać.

Szlachta zaś tylko sama odbywała służbę wojenną konną; oni najczynniejsi byli w obronie kraju, wybór najznakomitszy stanowił otoczenie króla. Z nich wybierano kasztelanów, czyli dowódzców zamków, starostów, sądzących sprawy po grodach, wojewodów, przewodniczących wojsku itp., wszyscy opłacali podatki z łanów, czyli pól i wszyscy winni byli ulegać urzędom po

miastach ustanowionym.

Może się czytelnikom moim zdaje, że wszystko to, o czem się tu wspomina, niepotrzebną jest gadaniną, ale każdy malarz, czy rysownik ma swoje upodobanie; jeden narysuje lub namaluje obrazek na białym, czystym papierze i dobrze jest, pięknie i jemu i patrzącym się podoba, inny zaś potrzebuje nietylko to nakreślić, co sobie przedsięwziął, ale swój przedmiot jeszcze otacza wszystkiem, co koło niego znajdować się mogło i to się nazywa tło, a na wasze zmartwienie ja czasem wolę tło od obrazu.

Lata obfite w wszelkiego rodzaju przygody przepłynęły po naszej ziemi, od czasu jak całą rodzinę z Brzezia przeprowadzaliśmy w wycieczce do Krakowa, gdy przypomniawszy się królowi Kazimierzowi, Pietrasz przedstawił mu syna swojego Jaśka i już chłopaka nie zabrał z sobą do domu, bo go sobie upodobał królewicz Bolko i naparł się, by przy nim pozostał. Rzewne wprawdzie było pożegnanie rodziny, lecz uspokoił się wkrótce żal, gdy niebawem po zgonie ojca książe w króla się przemienił, a młodzieniec stał się jego ulubieńcem.

W Brzeziu, we dworze, pociechą rodziców była zawsze Małgosia; a choć jej później młodsza przybyła siostrzyczka, którą jeśli nie chować, to pieścić matce pomagała, przecież jak ojciec i dziad Benko potrząsali nieraz głową na jej rozumne odpowiedzi, jak matka z czułością poglądała na jej postawę pełną wdzięku i charakter stały a łagodny, tak starzejąca się Rzepka wszystkie wiadomości, wszystkie u Rusinek podpatrzone tajemnice obracała na podniesienie piękności i uroku swojej wychowanki.

Czyli po części te starania, umywania twarzy rosą poranną, kąpiele z ziół wonnych, namaszczanie pięknych i długich włosów i umiejętnie ich splatanie taki wywarły skutek, czy i bez tych zabiegów tak być miało, niewiadomo; dość, że dzieweczka wyrosła pięknie nad podziw i z dzieciństwa wyszedłszy, wszystkie oczy i serca pociągała za sobą.

Pani Hanna raz przynajmniej na rok jeździła do Krakowa; szło jej o przypomnienie się królowej matce, która od owdowienia swego nie opuszczała dworca na Wawelu, a dla której od młodości Brzezieńska pani wielką w sercu wdzięczność przechowywała; szło także o odwiedzenie młodej królowej Wisławy, pełnej słodyczy i nieśmiałości, a mało szczęśliwej na krakowskim tronie, gdzie bardzo rzadko z nią razem król Bolesław zasiadał. Wszystkie poczciwe serca lgnęły do tej smutnej lilijki w białe rąbki uwitej, bo znaną była świętość obyczajów, cichę poświęcenie dla obowiązku gorąca jej miłość dla małego Mieszka, jedynego syna i dziedzica polskiego tronu i wiecznie pogodny uśmiech, z jakim witała królewskiego małżonka, nie pytając zkąd wracał, ani czemu bawił tak długo.

Bliższem jednak serdecznym Hanny widokom było, w tych do stolicy wycieczkach, dowiedzenie się dokładne o pobycie lub zamiarach króla Bolesława, któremu jej Jaśko wszędzie teraz towarzyszył, a później pokazanie podrastającej Małgosi na dworze i polecenie jej życzliwym względom obu królowych, które w owych już czasach każdy sobie cenił wysoko.

Podczas jednej z takich wycieczek zdarzyło się, że rzadko teraz w kraju przebywający monarcha powrócił z czeskiej wyprawy; lubo ulubioną siostrę swoję, Świętochnę, wydał za czeskiego króla Wratysława, nie miał w nim przyjaciela, ani pomocnika, gdyż ten, jako sprzymierzeniec niemieckiego cesarza, sprawy jego bronić musiał. Wróciło z królem towarzyszące mu rycerstwo, a między nimi znajomi nam syn i ojciec Brzezieńscy i wszystkich spojrzenia zwróciły się z podziwem na młodziutką Małgorzatę. Wśród wojowników różnego wieku i twarzy oznaczał się dzielnością postawy, szlachetnością rysów i zarazem dziwnie złączonym wyrazem powagi i łagodności w obliczu, dojrzały już mąż i rycerz zasłużony, Mikołaj Strzemieńczyk, pan na Zembocinie, który oczu z młodej dziewicy nie spuszczał. Sam król, luby tyle pięknych Niemek i Czeszek niedawno widział, a w częstych wyprawach podziwiał białe lica Rusinek i czarne ogniste oczy Węgierek, którego żona posiadała wdzięk i urok anielski, sam król pytał zkąd taka piękność na dworze jego wykwitła i dziwił się niepomała, gdy mu powiedziano, że to znajoma mu od dzieciństwu Małgosia z Brzezia, siostra najbliższego mu dziś Jaśka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

Ale wiesz ty też dokładnie drogę przez bór? Nie boisz się ty też?" — "Ja się boić?" zawołał Grześ przecierając sobie oczy i spoglądając z uśmiechem na sokolarza. "To było dziwne pytanie. Wszakci ja w boru wzrosłem i wiem w nim każdą dróżkę tak dobrze, jak najstarszy człowiek w tych stronach. Proszę tylko iść za mną. Pójdziemy ciągle po nad brzegiem, a może mi pan wierzyć, iż przed świtem w innej się ujrzemy dolinie"

Tak się też stało. Jeszcze nie upiękniła zorza nieba na wschodzie w różane obłoczki, a już nie można było ujrzeć Felzenhejmu. Słabo tylko, jak we mgle, dały się końce wież z po nad lasu widzieć. I krzewina, przez którą szli, stała się rzadciejszą i okolica była już przyjemniejszą. Po upływie dwóch godzin, stanęli nasi podróżni w bardzo miłej dolinie. W samym środku stał buk rozłożysty. Mimo niego płynął strumyk świeżej wody, wytryskującej z poblizkiej skały. "Tu sobie odpoczniemy," rzekł Oton, pokrzepiając się silnym chlebem i chłodną wodą; "potem, mój bracie, możesz sobie do matki wrócić. Zapewne ona cię już dawno oczekuje z niecierpliwością. Mam drogę przed sobą; nie zbłądzę więc tak łatwo." Najadłszy i napiwszy się i wypocząwszy sobie pod gałęzistym bukiem, pożegnał Oton Grzesia, mówiąc: "Dziękuję ci serdecznie, dobry chłopcze, za twoje mi towarzyszenie. Boli mnie to bardzo, iż ci za to nagrodzić nie mogę. Spodziewam się jednak wkrótce ujrzeć tę chwilę, kiedy ciebie i rodziców twoich będę mógł uszczęśliwić. O pozdrów ich odemnie i powiedz im, że ich niezawodnie a niespodzianie odwiedzę."

Temi słowy uwolnił chłopca od dalszego przewodniczenia. Grześ spieszył więc z powrotem do domu. Oton zaś biegł, mając sokoła na ramieniu a pełen ufności w Bogu, żwawym krokiem w przeciwną stronę. Wszędzie po drodze pytał się, którędy ma iść do stolicy cesarskiej. Wśród swojej podróży myślał tylko o ojcu i matce i o radośnej chwili szczęśliwego zobaczenia się. "Jakież to będzie wesele!' rzekł do siebie, "kiedy z dworu cesarskiego z nowiną powrócę, iż memu ojcu, jako prawdziwemu panu i właścicielowi, wszystkie dobra będą zwrócone, które mu niegodziwy Dytrych był zabrał."

Wśród takich myśli ciągle go w podróży zaprzątających, wcale się nad tem nie zastanowił, jakimby sposobem do cesarza się dostać. Dopiero po kilku tygodniach, gdy wreszcie wielkie, starożytne miasto z wspaniałymi pałacami i z mnóstwem wysokich wież ujrzał, ogarnęła go pewna trwoga. "Któż mnie," westchnął sobie, "mnie biednego do cesarza dopuści? Jeżli powiem, żem syn hrabiego Waldbergen, wyśmieją mnie na próżno i poczytają za szalonego. I pokazanie łańcucha nic nie pomoże; bo ten łańcuch zna tylko sam cesarz."

Gdy już stanął w stolicy, zabroniono mu za każdą razą przystępu; chociaż go żołnierze stojący na straży przy głównej bramie pałacu przepuścili, przecię się nie dalej jak do przedpokoju dostał, gdzie kilku posępnych, stalą i żelazem pokrytych olbrzymów stało, którzy go natychmiast odprawili. Za każdą razą, kiedy wrócić miał bez skutku, urzewniał sobie bardzo gorzko. "Miły najłaskawszy Boże," modlił się, płacząc, "tak dalece się mną opiekowałeś, iż już widzę ową wielką radość moich rodziców, dziwnym prawie sposobem uwolniłeś

mi ojca z ciemności więzienia, aby się jeszcze raz ucieszył z małżonką i synem swoim; o utoruj mi i drogę do cesarza, niech mu cierpienia mego ojca a niesprawiedliwość rycerzu Felzenhejmu pokażę. O wzrusz serce a znajdę łaskę u niego."

Jeszcze nie upłynął dzień trzeci od przyjścia jego do stolicy, a już używał Oton owocu swojej modlitwy. Pewnego rana bowiem przechadzał się po ślicznych ogrodach cesarskich, aby wśród tysiącznych głosów, wyśpiewujących ptaków i wśród ślicznych, wspaniałych kwiatów zapomnieć swojej troski, okrutnie go przygnębiającej. Ledwie co upłynęło pół godziny, w tem pokazała się w towarzystwie mnóstwa kobiet dworskich cesarzowa. Wyszła ona sobie dla użycia rannego powietrza. Widząc Oton tyle pań tak pysznie przystrojonych, ustąpił z najwyższem uszanowaniem na stronę. A gdy mimo niego przechodziły, przyciągnął do siebie sokoła zupełnie, zdjął barecik i skłonił się nizko. Ach gdyby był wiedział, że cesarzową widział, zastąpiłby jej był drogę na klęczkach, prosząc jej o posłuchanie. Wszystkie damy stanęły przy wodotrysku, wypływającym ze skał sztucznie ułożonych. W koło niego rosły drzewa woniejące. Zdjąwszy cienkie skórzane rękawiczki, zaczęły panie rwać bluszcz i kluczyki majowe. Oton przyglądał im się zdaleka. Wtedy dopiero spuścił je z oka, gdy zwolna wśród kasztanów zniknęły.

Całkiem myślami zajęty szedł mimowolnie za paniami tąż samą, co i one drogą. Nagle ujrzał się przy wodotrysku. W tem zeskoczył sokół, dotąd ciągle na ramieniu spokojnie siedzący, i podniósł coś w dzióbie, co się jak krople rosy różnobarwnie błyszczało. Z ruchem, radość oznaczającym, wrócił sokół znowu na ramię swego pana. Oton zaczął mu podchlebiać. W tem spadł mu na rękę złoty pierścień z pięcią kosztownymi kamieniami. "Ejże, ej!" zawołał Oton z zadziwieniem. "Zkądże się ten pierścień wziął? Zapewno go jedna z owych pań przy zdejmowaniu rękawiczki zgubiła. O, natychmiast muszę go oddać; gdybym je tylko jeszcze w ogrodzie mógł zastać." — Leciał więc za niemi, nie wiedząc co począć. Pełen więc rozmaitych myśli wyszedł z ogrodu.

Ledwie co tylko stanął w poblizkiej ulicy, aż się o jego uszy odbił głos bębnów. Tysiącami cisnęli się ludzie ze wszystkich domów na publiczne miejsce. Nie mogąc się oprzeć natłokowi, stanął wkrótce przed samym heroldem, który swą laską ze złotą główką do góry trzymając, głosem donośnym zawołał: "W imieniu samego cesarza i pana." Tu nastąpiła wszędzie cisza jak najgłębsza. Poczem herold tak dalej zaczął: "Ktoby znalazł złoty pierścień z pięcią drogiemi kamieniami, który przed godziną najjaśniejszej cesarzowej z palca spadł, ten ma go jako wierny podany oddać a odbierze tak wspaniałą nagrodę, jaka tylko kiedy z rąk cesarza wyjść mogła." Oton, który ów pierścień w kieszeni miał schowany, przedarł się przez tłumy ludu do najodleglejszej ulicy i rzucił się na rogu pewnego domu na kolana. "O płyńcie łzy radości!" rzekł z rozczuleniem. "A Ty Boże dobroci, patrz na nie, jako na zadatek dziecinnej mojej wdzięczności. Ptakaś na to przeznaczył, aby mi ojca przywrócił, ptak mi znowu do cesarza drogę toruje, aby czara mojej radości napełnioną została."

Teraz wstał i pobiegł spiesznym krokiem do cesarskiego pałacu. Gdy stanął w przedpokoju i owym posępnym, w stal i żelazo przybranym rycerzom powiedział, iż on pierścień Cesarzowej znalazł, wtedy się odmieniła surowa ich mowa. Otworzywszy mu podwoje, rzekli z przymileniem: "Proszę, bardzo proszę." W wielkiej, wspaniałej sali był prawie cały dwór cesarski zebrany. Tu wszedł Oton. Ukłoniwszy się nizko, wyjął pierścień i trzymał go w palcach. W tem rozeszły się radosne okrzyki po całym salonie. Cesarz nawet i cesarzowa z krzesła obitego purpurą, pobiegli ku drzwiom do Otona i powitali go mile. A gdy cesarzowa złoty swój pierścień z rąk jego odbierała, wtedy zwrócili wszyscy swe oczy na sokolarza. Kształtny ten młodzieniec, w gustownej swej odzieży i ze sokołem na ramieniu, podobał się też zaraz przy wejściu wszystkim. Cesarz zaś rzekł do niego. "A że się Boga boisz i swego Cesarza szanujesz, wyproś sobie za to łaskę. Przysięgam ci na koronę mojego cesarstwa, że ją uzyskasz, chociażby twe żądanie było jak naj-

większe." Tu klęknął Oton na kolana i przemówił ze złożonemi na krzyż rękoma w te słowa: "Najjaśniejszy Cesarzu i Panie mój miłościwy! A że łaskę u ciebie znalazłem, pozwól mi więc wpierw, krótko coś odpowiedzieć."

Na to uśmiechnął się cesarz i usiadł. Za jego przykładem usiadła i cesarzowa wraz z całym dworem. Na skinienie cesarskie stanął Oton na środku salonu i zaczął wdzięcznym swym głosem jak następuje: "W pewnej milutkiej dolinie żył pewien pasterz z trzodą swoją. Gdy ta spokojnie trawkę skubała, usiadł sobie przy niej, wyjął chleb i zaczął go jeść, a gdy ona piła, pił i on i to z jego samego źródła. Kochał on ją serdecznie i zasłaniał ją od wszelkiego niebezpieczeństwa. O tem dowiedział się jego nieprzyjaciel, lubo daleko mieszkał. Natychmiast, gdyby ogień piorunu, ogarnęła wściekła zawiść duszę jego. Poszedł więc do boru i wypielęgnował całą trzodę wilków. Z tymi to udał się do milutkiej doliny. Gdyby jaka szarańcza rozsypali się po niej, zaczęli zabijać i męczyć niewinne baranki i przywłaszczyli sobie wszystkie łąki; spokojnego zaś pasterza porwał ze sobą za góry i lasy, wtrącił go do ciemnego sklepienia, trzymał go tam długie lata i dopiero niedawno został ów niewinny człowiek wybawiony przez swego syna, który tymczasem wyrósł na rześkiego młodzieńca. Tak więc jest ojciec już wolnym, ale jego trzoda i własność jego jest jeszcze w ręku nieprzyjaciela."

Tu zamilkł Oton. Cesarz zaś odezwał się z uśmiechem: "Ale cóż to ma znaczyć ta przypowiastka, mój synu?" W tem zabłyszczała w oku Otona łza wielka. Sam zaś zbliżył się do purpurowego krzesła, na którym cesarz siedział i rzekł wolnym a smutnym głosem: "Ach! pasterz owej cichej trzody jest moim ojcem; jest to Henryk hrabia Waldbergen, syn Rudolfa hrabiego na Falkenbergu; jest to ten sam, który niegdyś na cesarskich turniejach najwyższą nagrodę był odebrał." Wszystkich ogarnęło zadziwienie. Szmer miły rozszedł się po sali. Oton zaś tak zaczął dalej mówić: "A człowiek z owymi wilkami, jest rycerz Dytrych na Felzenhejmie, niegdyś nazywający się Szczepanem Ejlenddrf. Jest to ten sam, za którego zwalczenie właśnie mój ojciec ową nagrodę odebrał." Imię Dytrycha napełniło wszystkich widoczną niechęcią, a niektórych nawet prawdziwą zgrozą, co aż na głos pokazali. Teraz musiał Oton przypadki swego ojca opowiedzieć. Zaczął więc od cesarskich turniejów i skończył dopiero opisaniem jego wybawienia. Mowa Otona była tak miła i tak rozczulająca, że nie tylko panie i panny nadworne płakały, ale że nawet i sam cesarz wraz z przytomnemi paniami.

Gdy już skończył, padł przy purpurowem krześle przed Cesarskim Majestatem na kolana i błagał: "O Najjaśniejszy Cesarzu i Panie mój najmiłościwszy! Jeżeli cię kiedy nieszczęście najwierszego ci poddanego obchodziło; a pokazałeś to niedawno; jeżeli niewinność mego ojca szanujesz a przeciwnie niesprawiedliwość rycerza Felzenhejm za złe uznajesz: o! to dopomóż nam cesarskiem swojem znaczeniem i potęgą, o dopomóż nam do odzyskania naszych praw starodawnych." Tu przerwał mu cesarz dalszą mowę, i podniósł go ze ziemi. "Bądź dobrej myśli, młodzieńcze szlachetny!" rzekł do niego łaskawym głosem. "Bardzo żałuję, że się dopiero teraz o długorocznem nieszczęściu twego rodzica dowiedziałem. Zmiana dawnego nazwiska i zbyt daleka odległość do stolicy, pokryły wszystkie wasze przypadki kirem niewiadomości. Lecz Bogu dzięki i jeszcze możecie mieć pomoc. Dam ja wam kilka oddziałów zbrojnych i pełnomocnictwo do postępowania sobie z nieprzyjacielem podług jego występków. Odbierz sobie wasze dobra a z włości winnego rycerza weź sobie tyle, ile potrzeba do wynagrodzenia strat wam wyrządzonych i za wasze troski i cierpienia. Dam ci także list szlachecki, który wam nada nowe prawo do dobra waszych przodków, a który wam na nowo przyrzeka cesarską moją łaskę i miłościwość."

Jak najuroczyściej okazali wszyscy przytomni radość wielką z tak miłego zdarzenia. Z panów dworskich przystępowali jeden po drugim do niego i witali go jako młodzieńca równej szlacheckiej krwi. Cesarzowa zaś powiedziała: "O jakże się cieszę, żeś dziś rano pierścień mój znalazł; gdyby

nie to, nie bylibyśmy się o tak ważnej dowiedzieli rzeczy. Jest to jeden z tysiącznych sposobów, którymi Bóg wiernych swoich do celu doprowadza."

Nazajutrz zupełnie z rana stał Oton w świetnie rycerskie odzienie przybrany, na czele zbrojnych rycerzy, danych mu od cesarza na pokonanie nieprzyjaciela. Ale i teraz jeszcze miał swego sokoła na ramieniu. Z tysiącznemi życzeniami z ust tak panów nadwornych, jako też pań i panien i z błogosławieństwem cesarza opuścił Oton stolicę.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Kara i nagroda sprawiedliwa.

Zastawszy onego wieczora więzienie, w którem hrabia Waldbergen był jęczał, próżne, wpadł wójt Felzenhejmski w humor wcale nie dobry. A wszedłszy do izby, nie przemówił przez całą godzinę ani słowa, pomimo badań najciekawszych ze strony swojej małżonki. Lecz na odgłos trąby nadjeżdżających po wzgórzu myśliwych, zawołał z przestrachu: "A niechże się teraz mną Bóg opiekuje!" Poczem wyszedł z izby dla otwarcia bramy rycerzowi. Gdyby skazany na śmierć winowajca, zadrżał, gdy mu Dytrych ostro spojrzał w oczy, pytając: "Nie zdarzyło się w czasie mej niebytności nic w zamku szczególnego?" — "Nic, nic, panie Rycerzu!" odpowiedział dosyć głośno i z miną wymuszoną, pokrywając wewnętrzną jego trwogę.

Zszedłszy z konia rycerz, pobiegł na zamek. Cieszył się bardzo burgrabia, iż się tak stało bez rozpoczęcia długiej rozmowy.

Ale gdy go rycerz w pół godziny potem do siebie kazał przywołać. wzmogła się tem bardziej w nim trwoga, tak, że aż zbladł, a idąc po schodach do góry, trzy razy musiał odpoczywać. Będąc już blisko pokoju rycerza, pomyślał sobie: "Wójcie: nie będziesz przecię sobie szkodził; nie wydasz się przecię na własną zgubą." Wszedł więc spokojnie i pewnym krokiem, jak zwykle, do pokoju. "Ha!" zawołał rycerz z uśmiechem, "jak zamek mój ze skał podźwigniony, tak prawda że sokolarz tęgim jest chłopakiem. Ptak jego bardzo mię dziś ubawił Ani razu nie puścił się na próżno w powietrze. Idź i przyprowadź go. Takiemu, jak on wolno ze mną dzban wina wypróżnić."

Uderzony tym rozkazem rycerza wójt zamkowy, widział się przymuszonym do bezecnego kłamstwa. Przystąpiwszy o krok bliżej do niego, skłonił się i rzekł drżącym głosem, jak gdyby niechętnie co chciał powiedzieć: "Daruj, Panie! lecz jeźli sokolarz jednę tylko kroplę wina więcej pić będzie zaszkodzi to do jutra jego żołądkowi i mózgownicy tak srodze, iż przynajmniej cały tydzień chorować będzie." "Ej u kata!" zawołał Dytrych, z krzesła się zrywając, "Jakże ja mam to zrozumieć?" "Oto tak?" odpowiedział wójt. "Upotrzywszy sobie sokolarz chwilę dogodną, przysiadł się do mego sądka wina i upił się tak szkaradnie, iż teraz gdyby bez duszy w mojej izbie leży." "Kłamiesz!" krzyknął rycerz. "A więc może się Pan sam o tem przekonać," odparł burgrabia śmiało. "Co? ja się przekonać, ja go oglądać?" krzyknął ów, tupnąwszy silnie nogą. "Biegaj wójcie, weź puginał i przebij go, niech się przeniesie na tamten świat. Rzygająca krew przebudzi go, otrzeźwi go może. Czegóż stoisz?" — "O panie, jest to za sroga kara za grzech takowy," rzekł wójt. "Za to go lepiej jutro rano, gdy się już wyśpi, wypędzę ze zamku a wypędzę bez żadnej za nie zapłaty." — Niechże i tak będzie," zezwolił rycerz z uśmiechem. "Byle mi się tylko nigdy na oczy nie pokazał."

Skłoniwszy się wójt, wyszedł z pokoju. "Ha!" rzekł do siebie "teraz przecię mogę znowu wolno oddychać, wyplątawszy się z tak niegodziwej sprawy. Jedna rzecz tylko jeszcze mnie niepokoi. Cóżbym zrobił, gdyby rycerzowi przyszło do głowy hrabiego Waldbergen odwiedzić? Ale to nie nastąpi, gdyż już dawno o nim ani wspomniał. Co się zaś tyczy Pań, będę ja już wiedział jak sobie postąpić. Kiedy znowu będą chciały iść do więzienia, powiem z żalem jak najserdeczniejszym, iż na nieszczęście rycerz o ich odwiedzinach się dowiedział i że mi śmiercią zagroził, jeżeli sumienniej nie będę woli jego wykonywał."

Powróciwszy do swego mieszkania, u-

przątnął natychmiast mandolinę i klatkę sokolarza, i wypił spokojnie szklannicę wina na wielkość swojej mądrości. Tak upłynęło kilka tygodni, gdy tymczasem o niczem innem nie myślał, jak tylko o sposobności, jakby mu najdogodniej było co dzień iść pod bór do karczmy. Co do sokolarza, sądził iż się już sprawa skończyła. Ale omylił się. Gdy bowiem razu pewnego grał w karczmie w karty ze swymi przyjaciółmi, wpadł nagle do izby jeden z dworskich i zakrzyczał: "Nieprzyjaciel, nieprzyjaciel!" Ta zła nowina przeraziło wójta tak srodze, iż się natychmiast zerwał ze stołka i w trwodze wielkiej nietylko stół z kartami wywrócił, ale i swego sąsiada wraz ze stołkiem na ziemię powalił. Potem zlany stanął u pagórka zamkowego. Tu ujrzał wśród późnej już nocy blask straszliwy dymiących pochodni, jak się nad mury wznosiły. "Zginąłem" i pobiegł do swego mieszkania i skrył się tam gdzieś w kącie pod dachem.

Nieprzyjacielem zaś nie był kto inny, jak Oton ze swymi zbrojnymi. Już we dnie znajdował się blisko zamku, lecz oczekiwał w gęstym boru wieczora. Wtedy pobiegł ostróżnie pod sam mur grodu i to właśnie do owych ciasnych tajnych drzwiczek, któremi wójt do karczmy wychodził. Znalazłszy je otwarte, wrócił do boru i czekał tam ze swemi rycerzami aż się zupełnie ciemno zrobiło. Wtedy ruszono z miejsca i postępowano w największym porządku i tak cicho, że szelest ruchających się od wietrzyku gałęzi słyszeć było można. Będąc już na wzgórzu, przecisnęli się wszyscy jeden po drugim przez owe drzwiczki. Dopiero na podwórzu zapalono pochodnie. Teraz zakrzyczeli stra szliwie. Równocześnie wywalili drzwi do zamku prowadzące. Dworscy, którzy się zbiegając im oprzeć i przystęp do pokoju rycerza zagrodzić chcieli, zostali bez rozlewu krwi rozproszonymi. Uwiadomiony o nadejściu potężnego nieprzyjaciela, uciekł Dytrych do najbezpieczniejszego pokoju w skalistym swym zamku. A słysząc głośny szczęk mieczów i włóczni, pochodzący z ganku sklepionego, zebrał w złości i rozpaczy wszystkie swe siły i czekał z puginałem w ręku na nadchodzących. A że Oton był pierwszy, który wszedł przez drzwi wysadzone, rzucił się więc na niego. Ale mu się jego zamiar nie udał. Czterech najwybrańszych giermków z oddziału cesarskiego, wstrzymawszy go, odebrali mu miecz i puginał i okuli go w ciężkie kajdany. A gdy w pomięszaniu swojem czarne swe oko na Otona zwrócił, przystąpił tenże do niego i rzekł: "Dytrychu! co nie znasz mię ty już wcale? Patrz tylko dobrze, a poznasz mię bezwątpienia. Jestem ja ten sam, co to miał owe wielkie, śliczne młode sokoły. A jeźli sobie życzysz wiedzieć jak się nazywam, powiem ci, że mi Oton na imię i że jestem syn hrabiego Waldbergen, któregoś długie lata trzymał w więzieniu a który teraz za Bozką pomocą wolności używa."

Tu się zaczął Dytrych szarpać okropnie w kajdanach, miotając złorzeczeniami jak najbrzydszemi. Szczególnym zaś przedmiotem złości jego był wójt zamkowy. W swojej wściekłości schwycił z kominka palącą się jeszcze głównię i machnął ją w powietrzu, aż kajdany zabrzęczały. "Ha! ten nędznik, ten przeniewierny służalec," zakrzyknął Dytrych. "Gdyby był pilniej strzegł więzienia i bram, nigdy nie spotkałaby mnie ta sromota. O gdybym tylko przez chwilę na sobie nie miał tych kajdanów, gdyby tylko tak długo, abym miał czas do przebodzenia mu jego podłej piersi moim puginałem!" — "Uspokój się Dytrychu," przerwał mu Oton dalsze jego złorzeczenia. "Twoje krzyki, twoje łajania nic ci już nie pomogą. Rozważ raczej, iż wszystko to, co teraz znosić musisz, jest jedynie tylko karą za wyrządzoną niewinnym ludziom niesprawiedliwość. Ażebyś mógł przyjść do uznania tej prawdy, każę cię jeszcze dziś zaprowadzić na miejsce chłodne i spokojne. Może też Bóg miłościwy ześle promień swej łaski do serca twego, tak że potrafisz poznać wielkość twych występków, potem opłaczesz grzechy swoje i poprawisz się na zawsze."

To rzekłszy, skinął na giermków obok stojących. Ci też otoczyli rycerza i wywiedli go z pokoju. Teraz zmieniły się przekleństwa i potwarze rycerza w głośne wycie i wyrzekanie co się w sklepieniu ganku bardzo odbijało. I wtedy jeszcze można było słyszeć podrażnienie jego rozpaczy, gdy go już przez dziedziniec prowadzono. Po scho-

dach bowiem wdarł się głos jego aż do góry w ganek.

Teraz się udał Oton do pokoju rycerzowej i jej córki. Obiedwie zastał klęczące. Oczekiwały one z obawą, co nastąpić miało. Hałas bowiem stojącego na podwórzu rycerstwa i szczęk broni, dochodzących aż do ich pokoju, przestraszył je niezmiernie. “Nie bójcie się panie niczego,” przemówił Oton miłym swym głosem, “jać was tylko chcę prosić o nocleg; a sądzę, że tego rycerzowi nie odmówicie, gdyżeście przed kilku tygodniami pod dach swój sokolarza przyjąć chciały. Dytrycha tylko złe serce było winą, że się nie stało podług waszej woli.”

Teraz go poznały, co je bardzo uspokoiło. Tu powiedział im swe imię i nazwisko, jako też i stan swój. Nie zamilczał też o sposobie, jakim wybawił ojca swego. Wyjawił im także swój zamiar co do rycerza Dytrycha. Miał tenże tak długo pokutować w rozwalinach pewnego zamku na górze, ażby przyszedł do uznania swoich niegodziwości, potem za nie żałował i poprawił się prawdziwie. Płakały wprawdzie gorzko matka i córka. “Przecię,” rzekła Matylda z pewną spokojnością duszy, “przecię podziękuję Bogu za to znieważanie go, jeżli do mnie powróci jako uczciwy człowiek.”

Nazajutrz zupełnie z rana poszedł Oton do mieszkania wójta, aby go też odwiedzić za doznaną gościnność. Chudy a dwuznaczny ten człowiek siedział jeszcze w kącie pod dachem. Do wydostania go ztamtąd musieli ludzie Otona siły użyć. Zobaczywszy sokolarza, krzyknął przeraźliwie i zakrył twarz obiema rękoma. Oton zaś żądał od niego swoją mandolinę i ganił mu surowo jego dotychczasowe postępowania. “Odtąd nie ma dla ciebie tutaj służby, aż pokażesz, iżeś się poprawił. Na twoje miejsce przyjdzie poczciwy porębacz Rupert.” — Lecz daleko łagodniej przystąpił do wójtowej, płaczącej z dziećmi w kącie i rzekł: “Wyście uczciwą niewiastą. Za uprzejmą gościnność, mogę wam teraz wynagrodzić. Tymczasem możecie żyć sobie z paniami na zamku; i o waszych dziatkach będę miał staranie. Waszemu mężowi, którego oddam pod straż przyszłemu wójtowi, możecie doradzać, możecie go napominać, aby na przyszłość na drodze poczciwości chodził. Jeżli się poprawi, dostanie wkrótce urząd jakikolwiek.”

Potem udał się Oton do mieszkania Ruperta. Matylda i Agnieszka poszły z nim razem. Było to rozczulającym widokiem gdy Rupert z radością poznał w przybyłym rycerzu znanego sobie sokolarza. A gdy mu Oton mianowanie go na wójta zamkowego oznajmił, wtedy zawołał: “Jest to wieczna prawda że jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, a kto poczciwy nagrodzony bywa.” Tekla zaś mówiła to do Otona, to do Matyldy, to znowu do Agnieszki, a nie wiedziała, jakichby słów na podziękowanie dobierać.

Puściwszy niewinnych więźniów na wolność i oddawszy każdemu co jego, pożegnał Oton Matyldę i Agnieszkę, przyrzekając, iż je wkrótce wraz ze swymi rodzicami odwiedzi, aby wspólnie się mogli ucieszyć z powodu najrozkoszniejszego zobaczenia się. Trzeciego dnia po tem opuścił zamek Felzenhejm, gdyż się bardzo tęsknił za ową chwilą, w której miał ojca i matkę uściskać. Często więc wołał w prawdziwem zachwyceniu: “Dalej, dalej do Szwajcaryi! dalej do chaty mojej matki! Dalej do jaskini Beatusa.”

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Pustelnik nieznajomy.

Już się spuściło słońce po za góry szwajcarskie a cienie zmierzchowe rozpostarły się po polach Merlingen, kiedy jakiś pielgrzym, w długiem czarnem odzieniu, białym pasem przepasany, w brunatnym, wielkim kapeluszu i z sękatym kijem w ręku, wszedł do nizkiej chaty przewoźnika Klausa. Widząc to przewoźnik, powstał z uszanowaniem z dębowej ławy, na której siedział, i powitał mile nieznajomego, mówiąc: “A witajcież, czcigodny ojcze! Cóż was tu sprowadziło do ubogiej mej chaty? [illegible] się chcecie u mnie przenocować? Wszak się już zmierzchło. O z największą chęcią uczynię wam to, jeżli wasza wola.”

Ścisnąwszy go serdecznie za rękę pu-

stelnik, rzekł: "Gdyżeś tak uprzejmy, iż mnie ze wszystkiem, co tylko masz, w mych życzeniach uprzedzasz, nie odmówisz mi zapewne i tego, o co cię prosić będę. Tam na drugim brzegu jeziora, na owej wysokiej skale, ma pewien bogobojny mąż samotne mieszkanie, które jaskinią Beatusa nazywają." — Tak, tak!" przerwał mu Klaus, "Beatus jest bardzo bogobojnym, prawdziwie świętobliwym starcem. Cała okolica kocha i szanuje go jak własnego ojca. Chętnie się drapią wieśniacy na przykre skały, aby w przyjemnym kościółku pocieszające słowa z ust jego usłyszeć. A wszyscy powracają do domu z lekkiem sercem i nową siłą w duszy. Mnie samego pobudził już nie raz aż do łez mową świętą. Niech Bóg zapłaci temu bogomyślnemu mężowi."

Ta jego mowa wzruszyła serdecznie nieznajomego. "A więc przemówił znowu do przewoźnika, przewieście mię na tamtę stronę, jeźli wam to niezadaleko przy zapadającej nocy." Ledwie co pustelnik mówić przestał, a już nie było Klausa w izbie. Pobiegł on do jeziora, aby tam swą łódź do przywozu przygotować.

Tymczasem dała Rozia czcigodnemu gościowi chleba z świeżem masłem i kubek czerwonego wina, które z winogron tamtejszej doliny wytłoczonem było. Bardzo się cieszyła ta uczciwa i pracowita gospodyni, widząc nieznajomego pustelnika, jak smacznie zajadał i popijał. Był mu też wiejski ten posiłek słodszym, niż za dawnych czasów przysmaki na uczcie jakiej rycerskiej. Łzy podzięku zajaśniały mu w oczach, gdy się po długiem przeciągu czasu, znowu po raz pierwszy mocnem pokrzepił winem i w sercu swojem niejaką wesołość uczuł.

Teraz wszedł Klaus do izby, z wielką na głowie czapką, tak, że mu aż górną część twarzy pokrywała, i w starym szarawym kaftaniku. "Łódź już na pogotowiu," rzekł do pustelnika. "Jeźli wasza wola zaraz odbijemy od brzegu. Tam z po za góry wznosi się czarna krucza chmura. Jest ona przepowiednią rychłej burzy. Nim się niebo zupełnie chmurami pokryje, musimy stanąć na drugiej stronie." Pustelnik podziękował Rózi za szczodrą gościnność, a Klaus żegnając się z swą ukochaną połowicą, przyrzekł jej, iż jeszcze przed północą wróci. I tak wyszli obaj.

Od chaty prowadziła do jeziora wąska w skale wydeptana ścieżka. Klaus szedł naprzód; za nim postępował czcigodny ojciec. Właśnie, kiedy już przy jeziorze byli, pokazał się na wschodzie po nad górami księżyc, jak gdyby im wśród nocy na przewozie chciał być przewodnikiem. Klaus odwiązał łódź od pala, zepchnął ją z brzegu i odpłynął. Cicho było. Żaden wietrzyk nie zburzył zwierciadłem leżącego jeziora. Mile przyświecał spokojny blask księżyca. Był to jeden z najpiękniejszych wieczorów. Na zachodzie, między skałami, mrugały swym migotem przyjemne gwiazdy a słabo tylko światłem księżyca rozjaśniona powierzchnia jeziora, odbijała blask owych miłych gwiazd. Nic się słyszeć nie dało, oprócz uderzeń wiosła z żylastej ręki przewoźnika i prócz pluskotu małych bałwanków, szybkim biegiem czółna zrobionych. Z rozpadlin w skałach zaskrzeczał czasem jaki sęp nocny; a z wieży w Merlingen zajęczała tedy i owedy sowa jaka. Trzody alpejskie spoczywały sobie w swych oborach. Nigdzie się nie odezwała trąbka myśliwca, ścigającego dzikie kozy. Dziwnie się zrobiło pustelnikowi. Mnóstwo pięknych obrazów z czasów upłynionych przyszło mu na myśl. Ale to i że się miał w jaskini Beatusa dowiedzieć na pewno tak o żonie jako też i o synie, i to go napełniło tysiącznemi uczuciami. Często zajaśniały mu oczy łzami; często westchnął głęboko; często wzniósł ręce swoje ku pogodnemu niebu. Żadne z tych jego wewnętrznych poruszeń nie uszło uwagi przewoźnika. Wiosłował więc przez wielkie jezioro, ani słowa nie mówiąc.

Wreszcie stanęli na brzegu. Wybiła właśnie dziewiąta godzina. Jak Klaus przepowiedział, tak się też i stało. Owa czarna chmura rozpostarłszy się zwolna po nad skałą, wisiała teraz nad górami i zaćmiła księżyc i gwiazdy. Powiedziawszy pustelnikowi, aby z łodzi wysiadł, przywiązał ją Klaus do krzaku nadbrzeżnego, skrzesał ogień i zapalił pochodnię, którą był wziął z sobą nim odjechał. "Bo trzeba wam wiedzieć," rzekł "iż droga z tej strony na skałę i dla mieszkańca gór alpejskich, pomimo jego wprawy,

bardzo jest niebezpieczna. A prawdę powiedziawszy, jest to ścieszka." Jako przewodnik szedł z palącą się pochodnią przodkiem a pustelnik postępował drżącym krokiem za nim. Z początku prowadziło na górę sto sześćdziesiąt stopni, w skale wykutych, lubo je niezliczone mnóstwo przechodzących mocno wydeptało, ale potem szła ścieszka przez okropne skały i urwiska, a rzadko tylko przez kwieciste równiny i małe dębowe gaje. Wreszcie ujrzeli się obaj u góry na rozłożystej skale.

"Teraz" rzekł przewoźnik, odpoczywając sobie po prędkim swoim a ciężkim pochodzie, "teraz nie potrzebujemy się już lękać nadchodzącej burzy. Jesteśmy już wyżej niż same chmury, które się tam w postaci mgły zbliżają." Zadziwienie ogarnęło pustelnika. Na dole bowiem kołysały się ogromne bałwany nad rozhukanem burzą jeziorze, tworząc głośny, straszliwy łoskot, a u góry sterczał olbrzymi wierzchołek, który go ciężarem okropnej swej wielkości w każdej chwili w otchłań wód wściekłych zdruzgotać groził. Wyjąwszy Klaus z poblizkiej rozpadliny schowaną drabinę, przystawił ją do wysterczającego urwiska. Gdy po grubych szczeblach u góry stanęli, zaświecił znowu księżyc, rozsyłając blade swe promienie i do wypoczywających po dniowej pracy dolin. Już burza minęła, tylko tu i owdzie ciągnęły jeszcze szare obłoki, jako ostatek nagłej niepogody. Tym wspaniałym widokiem chciał pustelnik przez kilka chwil swe oczy nasycić, ale Klaus wciągnąwszy drabinę do góry, nalegał na niego, aby za nim poszedł. Wkrótce ujrzeli się na moście, nad przepaścią między dwiema skałami zawieszonym. Nie daleko mostu prowadziło znowu blisko sześćdziesiąt stopni do góry. Za pół godziny przyszli do dębowego lasku. A ten dotykał do jaskini Beatusa.

Rzuciwszy resztę jeszcze palącej się pochodni w przepaść, rzekł Klaus: "Teraz jesteśmy już u celu naszej podróży."

O któż opisze radość pustelnika, radość z tak pożądanego oznajmienia. "Czyż widzicie?" rzekł Klaus. "Oto tam stoi chatka a przy niej kaplica, w której Ojciec Beatus co niedzielę mieszkańcom gór słowa zbawienia i pociechy głosi. Jeden tylko sygnarek zwołuje czystym swym dźwiękiem z doliny i z gór na nabożne zgromadzenie. Ha słyszycie go?"

W tejże chwili biła dziesiąta na skalistym kościołku bogobojnego Beatusa. Teraz ujrzeli w chątce mchem obrośniętej, słabe światło. Dotąd bowiem było ciemno w oknach tejże. W milczeniu ukląkł Klaus na skale i modlił się. To wzruszyło pustelnika głęboko. Ukląkł więc i oddał się modlitwie. Wtem zabrzmiał z chaty drżący głos ośmdziesiątletniego starca. Pełne akordy zadźwięczały na harfie. Pieśń była następująca:

Jak na powietrzu w lekkich obłokach
Gwiazdy ogromne wodzi w ich tokach,
Tak niezliczony piasek nad morzem,
Zna i przelicza okiem swem Bożem;
Tak i o ludziach łaska jego święta
Ciągle troskliwie pamięta.

"Cóż to znaczy?" zawołał pustelnik w dziwnem pom..ęszaniu, gdy już struny brzęczeć przestały. "Zdaje mi się zupełnie jak gdyby mi się owe dni szczęśliwe wróciły, kiedym jeszcze jako chłopiec obok ojca siedział i przysłuchiwał się mu jak nieraz wśród pięknego wieczora śpiewał pieśń tę samą." Teraz zaczęły strony harfy znowu przemawiać, podług tej samej, co i pierwszej nuty, można było dosłyszeć te tu słowa:

Ojcze i Boże! słuchaj mię proszę,
Niechaj kłopotu, nędzy nie znoszę,
Kiedy ciemnota trwogi zapadnie,
Pomóż mi, ciesz mię, wszak Ci to snadnie.
Darz mię spokojem! I gdy spoczywam,
Niechaj w twej łasce opływam!

"Amen!" zaśpiewał jeszcze tenże głos, gdy harfa już dźwięczeć przestała "Amen!" powtórzył nieznajomy pustelnik, klęczący na skale, a łzy żałośliwie spływały mu po policzkach. Słodkie przypomnienie wycisnęło mu je.

Teraz ruszyło się światło w chatce i znikło. Ale wkrótce stanęli u słomianych drzwi sieni, otworzyli je i ujrzeli przed sobą ojca Beatusa.

Słaby blask palącej się lampy pozwolił im tylko niewyraźnie widzieć srebrną jego i aż po piersi spadającą brodę. Harfa stojała o ścianę oparta. Spostrzegłszy Beatus przybyłych, powstał z miejsca i przywitał ie uprzejmie. Tu przystąpił Klaus z czapką pod pachą do starca z uszanowaniem i rzekł:

"Oto jest podróżny zakonnik, czcigodny ojcze. Przywiozłem go tutaj do waszej chaty." — "A witam was więc całem sercem," rzekł Beatus do przychodnia, podając mu rękę, "Mało czem mogę wam służyć w ubogiej tej chacie; lecz co mam, to dam chętnie i z prawdziwie braterskiej miłości."

Zwróciwszy się potem do Klausa, rzekł: "Mój Klausie! jużcić to dawno jak do jaskini przewozisz a nie żądałeś jeszcze ani szeląga za wielkie swoje trudy. Ale ci też Bóg za to błogosławić będzie. Nagrodzi on tobie stokrotnie za każdy krok, dla swych uczyniony współbraci. A że już późno w noc, wypocznij sobie tu u mnie. Wszak nie źle ci będzie leżeć na mchu tym miękkim. Skoro zaświta, możesz nazad do domu wrócić," "Dziękuję wam za waszą dobroć," odrzekł Klaus z ukłonem. "Wszak wam wiadomo, że mam drogą żonę w domu, któraby się o mnie za bardzo troszczyła. Przed północą jeszcze, obiecałem jej, że stanę z powrotem. Już teraz liczy Rózia zapewno każdą minutę." — "Jeżeli tak, to niech cię Bóg prowadzi." Rzekłszy to ojciec Beatus, wyjął ze schowania wydrążonego pochodnię, zapalił ją przy lampie i dał przewoźnikowi. Ten się też z oboma pożegnawszy, wyszedł z pustelniczej celi, zanim mu nieznajomy na przewóz podziękować zdołał, już spuszczał się po skale, aby jak najprędzej w domu stanąć.

Skinąwszy Beatus na swego gościa, poszedł z nim do kaplicy. Prowadził on go przez podziemną jaskinię. Lampa, dla zawiewającego ich zimnego wiatru w latarni postawiona, przyświecała im. Stojąc już przy skalistej ścianie kaplicy Beatus, przekręcił kluczem i otworzył drzwi kościołka siłą jego wiekowi wcale niezwyczajną. Gdyby do Boskiej świątyni wstąpili z czcią do wydrążonej kaplicy. Żadne słowo nie przerwało ciszy uroczystej. Tylko mocne stąpanie odbijało się głucho w owom prostem sklepieniu. Teraz zapalił starzec lampę, w kapliczce wiszącą i zadzwonił w dzwonek na skale zawieszony. Mile i głośno rozchodził się czysty dźwięk po górach i po dolinie, napominając spokojną okolicę do gorącej modlitwy.

Po niejakim czasie wyszli z kościołka, zamknął za sobą drzwi i stojąc jeszcze chwilę przy skale, udzielającej mu widok na całą dolinę, wylał z cichem nabożeństwem swoje błogosławieństwo na okolicę. A gdy w chacie stanęli, przywitał starzec na nowo nieznajomego swego gościa z prawdziwą serdecznością.

Pomimo swej szczupłości, była cela ta w tym dobra, iż była wygodną. Okrągły dębowy stół stojał na ławie w jednym kącie, a w drugim stojało łóżko, miękkim wysłane mchem i pokryte szerokim kobiercem. Dalej w skale znajdowało się jeszcze inne pomieszkanie; było ono dla gości przeznaczone. W samym środku celi wisiała lampa na łyku wierzbowem. Tymczasem, gdy się przychodzień miłemu urządzeniu w chatce przyglądał wynosił Beatus cały zabytek swej śpiżarni dla uczęstowania gościa swojego. Dobry a silny chleb, smaczne jabłka, które przez zimę w piwnicy, także w skale wydrążonej, przechował, miód i kasztany, wszystko to zapełniło stół jego szczupły. Do tego przyniósł jeszcze wina zdrowego i to w ślicznym kubku z brzozowego drzewa.

"Jest to wszystko, czem wam służyć mogę," rzekł bogobojny starzec i wziął nieznajomego za rękę, aby sobie przy nim usiadł na kamiennej ławie "Oto tu macie całą moją zamożność. Pokrzepcie się jadłem i piciem, zapominając w spokojaej tej chacie, ileście w podróży wystać musieli." "Nie," odrzekł przybyły pustelnik, "prędzej sobie nie wypocznę ani kawałka chleba nie ukąszę, aż się dowiem, czy mię rzeczywiście w najmilszych mi w świecie rzeczach zaspokoić możecie." Teraz dał się wreszcie pusteln k nakłonić i usiadł więc do stołu.

Gdy się już małym tym posiłkiem nasycił, wziął Beatus kubek w rękę i rzekł: "Dalej, mój bracie! wypijmy pomyślność wszystkich dobrych ludzi," Przyczem trącił swym kubkiem o kubek przychodnia i obaj wypili swoje wino. "Jeszcze jeden na pomyślność tych, których kochamy a których sobie w naszej bliskości życzymy," Te słowa zachwiały kubkiem w prawicy gościa. Twarz jego zmieniła się, a wielkie łzy spłynęły mu we wino. Przecię chciał pokryć swoje wzruszenie i pił więc z kubka bez wyrzeczenia słowa. Lecz gwałtowna walka

w sercu jego nie uszła uwagi starca. I on się zdawał swą myślą pogrążonym w przypomnieniu przykrej przeszłości. W zapadłem jego oku błyszczała długa łza smętności. Teraz wreszcie spadła po długiej, srebrzystej brodzie. "Wielu z najdroższych nam osób," rzekł po chwili głębokiego milczenia, "mielibyśmy radzi blisko siebie. Ale któż nam powie o ich pobycie? Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyją. Nieraz wśród nocy bezsennej błagałem ze złożonemi rękoma gorąco Boga o wysłuchanie jedynej tylko prośby; ale dotychczas nie podobało się jeszcze Panu przyjąć moje modlitwy. Lecz niech się stanie wola Jego święta. Jestem spokojny. Tylko wspomnienie na ubiegłe czasy, lubo go się wystrzegam, budzi w głębi mej duszy jakąś cudną smętliwość."

Słowa te wywarły na nieznajomym szczególne wrażenie. Spojrzał więc badawczym wzrokiem na starca, którego twarz teraz pewna tajemnicza żałość pokryła. "Taką rzeczą," rzekł znowu wreszcie, "nie mnie samemu przestały kwitnąć owe wielkie radości domowego pożycia? Jak widzę, siedzę tu obok ofiary równych cierpień. I wy opłakujecie swoją stratę, opłakujecie tu w cichej tej i samotnej celi."

"Ach tak!" rzekł starzec żałośnym głosem "opłakuję; ale zawsze polecam swe dolegliwości woli Pana Boga. Już tak długo płakać nie będę. Bo pókiż jeszcze będzie padał promień słoneczny na siwe moje włosy? O wtedy dopiero mi lepiej będzie. Na tamtym świecie kwitną wiecznie najpiękniejsze ogrody. A kwiaty, które mi tu na tej ziemi ostry wicher północny zawcześnie wydarł, te kwiaty, znajdę je żywsze, piękniejsze. Ale was jest mi ż l, bardzo żal, drogi przyjacielu. Wszakżeście dopiero w najlepszych latach. O jeszcze wy wiele łez wylejecie, nim nadejdzie śmierć, owa zimna, lodowa, i nim zakołacze u drzwi waszej celi, wołając nas do ciasnego mieszkania, gdzie nam wszystkim we śnie żelaznym przyjdzie wypoczywać. Lecz nie rozpaczajcie. Ten, który tam nad gwiaździstem wspaniałem sklepieniem tronuje, nie zapomni swych dziatek. A chociaż dopuścił, że wam owe wielkie radości domowego pożycia kwitnąć przestały, daje wam za to znaleźć współbraci, którzy udział mają w waszej niedoli i przy których łonie swemu znękanemu sercu ulżyć możecie."

"Tak, tak," odrzekł nieznajomy, "tego wprawdzie doznałem"; odrzekł "inaczej nie znalazłbym był drogi do jaskini Beatusa. O jakże mogę podziękować mu za tę wielką łaskę? Ojcze Beatusie, przy was rozpływa mi serce w tem łonie. Słuchajcie więc kto ja jestem i jakim sposobem do waszej chaty się dostnłem."

Ta uprzedzająca gotowość przychodnia uczyniła pytanie bogobojnego ojca o przyczynę dolegliwości onegoż, niepotrzebnem. Dolawszy Beatus oleju w lampę, aby nie zgasła za rychło, usiadł naprzeciw swego gościa. Ten zaś otarłszy sobie kilka wielkich łez z oczu, mówił dalej:

"Odzienie te pustelnicze pokrywa ubiór rycerski. Za szczęśliwych bowiem czasów, posiadałem w Szwabii miły, piękny zamek. Był on koroną wszystkich grodów w całej okolicy; a nazywam się Henrykiem hrabią na Waldbergen."

W tejże chwili okryła twarz ojca Beatusa nadzwyczajna bladość. "Czyż podobna?" pomyślał sobie. "Waldbergen się nazywa także owa pani w dolinie. O Boże, nie jestże gość mój jej mężem?" Na myśl tę wesołą zmieniła się bladość jego w lekki rumieniec.

Hrabia zaś nie spostrzegł tej prędkiej zmiany na rysach jego, a tem mniej mógł poznać, co się w jego duszy działo Opowiadał więc dalej, przestając tylko kiedy niekiedy dla zbyt wielkiego rozczulenia. A gdy już był blisko cudownego uwolnienia, złożył ręce i modlił się długo. Wyjąwszy potem haftowany krajobraz zamku Waldbergen podał go Beatusowi, mówiąc: "Ten obrazek, który mi moja małżonka owej ostatniej widzenia się naszego podarowała, a który w więzieniu jedyną moją był pociechą, ten obrazek przyczynił się prawdziwie cudownym sposobem najwięcej do oswobodzenia mego."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DESZCZ I POGODA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. LEONA GOZLAN,

TŁOMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nieznajomy.

Słucham panią.

Baronowa.

Zaledwie Pan wsiadłeś tutaj, chciałeś, jak najspieszniej wychodzić, byłam tak niedyskretną, iż pana zatrzymałam zgodziłeś się pan jedynie przez grzeczność dla mnie, teraz zaś, gdy deszcz ustał, byłoby to nadużywać uprzejmości pańskiej, gdybym go zatrzymywała.

Nieznajomy.

Ale nie, mogę panią upewnić.

Baronowa.

Przepraszam pana, wiem, że panu pilno.

Nieznajomy *(na stronie.)*

Znajduję ją coraz ładniejszą, wcale nie myślę tak prędko ztąd odejść (*głośno.*) Mogę pani zaręczyć, że mi wcale nie pilno.

Baronowa.

Wszakże spieszyłeś się pan na kolej żelazną?

Nieznajomy.

Ale powiedziałaś mi pani, że mam 3 godziny czasu, a nie ma jeszcze pół godziny, jak jestem tutaj.

Baronowa *(niezadowolona.)*

Ha, skoro tak...

Nieznajomy.

A więc, sap zwyczajny...

Baronowa.

Znowu, ah mój Boże!...

Nieznajomy.

Co pani mówi?

Baronowa.

Nie panie (*na stronie.*) Ah, jaki on brzydki!

Nieznajomy.

Sapy zwyczajne są to te, które się robią przy rozpoczęciu oblężenia.

Baronowa *(na stronie.)*

Ah, jakiż on nudny.

Nieznajomy.

Kosze, w kształcię cylindrów bez dna, napełniają się ziemią a mają 80 centy metrów wysokości.

Baronowa *(na stronie.)*

Ależ on mnie zanudzi, to prawdziwie deszcz w postaci człowieka.

Nieznajomy.

Sapy dubeltowe są to te...

Baronowa.

Jakby go się tu pozbyć?

SCENA XII.

Ciż i Anzelm *(słychać deszcz.)*

Anzelm.

Słońce, które ukazało się na chwilę, znów się zakryło chmurami, i w tej chwili najstraszniejsza ulewa.

Baronowa *(na stronie.)*

Ah, to okropność! Robertwalowie znów nieprzyjadą.

Anzelm *(na stronie wychodząc.)*

O, bardzo zła pani baronowa. Usuńmy się, gotowa ze mną, jak z barometrem postąpić.

SCENA XIII.

Baronowa — Nieznajomy.

Nieznajomy *(na stronie.)*

W samę porę, ta ulewa.

Baronowa *(po chwili gniewu, zbliżając się, mówi z słodyczą.)*

Możebyśmy powtórnie o tych, tak interesujących sapach zaczęli?

Nieznajomy.

Bardzo chętnie *(siadają.)*

Baronowa.

To nadzwyczaj zajmujące, a zwłaszcza te kosze cylindrowe, ta ziemia.

Nieznajomy *(na stronie.)*

Jakaż zmiana? Co to znaczy? *(głośno.)* Skoro sobie pani życzysz, więc przejdziemy do sapów dubeltowych.

Baronowa.

I owszem *(na stronie.)* On wcale przystojny.

Nieznajomy.

Sapy dubeltowe robią się zwykle w nocy. Wyseła się oddział robotników z motykami.

Baronowa *(powtarzając.)*

Z motykami.

Nieznajomy.

Z rydlami.

Baronowa *(j. w.)*

Z rydlami.

Nieznajomy.

Każdy ma karabinek.

Baronowa.

Każdy ma karabinek.

Nieznajomy.

Sap pełny, to znowu co innego.

Baronowa.

Doprawdy? *(na stronie.)* Chciałabym się dowiedzieć, czy on żonaty.

Nieznajomy.

Te tylko saperzy robić mogą. Ustawmy więc najpierw saperów.

Baronowa.

Tak ustawmy najpierw saperów *(na stronie.)* Kiedy pomyślałam, że z nudów będę saperów ustawiać.

Nieznajomy.

Pierwszy saper pracuje, klęcząc, drugi saper także klęcząc, ale trzeci saper...

Baronowa.

Trzeci saper?

Nieznajomy.

Trzeci saper pracuje schylony.

Baronowa.

To coś nadzwyczajnego!

Nieznajomy.

Zaś czwarty saper...

SCENA XIV.

Ciż i Anzelm.

Anzelm.

Słońce świeci.

Baronowa.

Świeci? Trzeba wszystko na przyjęcie naszych gości przygotować; Słońce świeci, to przyjadą.

Nieznajomy *(na stronie.)*

Przeszkodził mi w ulokowaniu czwartego sapera.

(Ciąg dalszy nastąpi).